Cena 18 fen. = 13 cent.

Nr. 22. Rok X.

ŚWIATŁO

Pismo ilustrowane dla rodzin polskich.

Nauka

Ś. Jadwiga.

Ś. Jacek.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „KATOLIKA" Bytom

Baillard.



Rok X. Bytom G.-Ś., 15-go Listopada 1896. Nr. 22.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Dokończenie.)

Sierota, usłyszawszy odgłos leciuchnych kroków, wytężyła słuch. Któżby to mógł zbliżać się w ten sposób? nie był to ociężały chód rybaczki? Wtem drzwi otworzyły się spiesznie i dziewczęta powitały się serdecznym uściskiem.

— Ach! jak to dobrze żeś nakoniec wróciła, moja ukochana Edyto; — zawołała Beata. — Co ja się też nie natęskniłam za tobą! Jak gorąco modliłam się, ażeby ci Bóg zapłacił za wszystkie ofiary, jakie poniosłaś dla mnie.

— Nie mów mi o ofiarach, najmilsza! Wkrótce skończą się twoje nieszczęścia i otrzymasz wszystko, co ci się z prawa należy. Twój dziadek z utęsknieniem oczekuje na ciebie. Poznałam go i w twojem imieniu przedstawiłam mu prośbę twej umierającej matki.

— I przebaczył? Zechce przyjąć do siebie jej dziecię? — biadała ze łzami sierota. — O! mów Edyto.

— Możesz być spokojną. Dziadunio oczekuje cię z upragnieniem; jeszcze dziś przybędą tu twoi krewni, ażeby cię zawieźć do niego. Za chwilę zobaczysz twoją ciotkę Paulę Hohenhofen, której towarzyszką byłam dotychczas. Przyjechała ona do Anglii z pasierbem twojego dziadka.

— Ach! dobra Edyto, co też ty zrobiłaś dla mnie. Jakże ci się zdołam za to wywdzięczyć? Sam Pan Bóg już mię chyba wyręczy. Ale teraz opowiedzże mi, jak tam wszystko zastałaś? Jak przyjęto wiadomość o mnie? Czy żyje jeszcze macocha mojej mamy?

Pytania leciały jedne za drugiemi z ust uszczęśliwionej dziewczyny. Słaba przed chwilą Beata zdawała się odrodzoną pod wpływem radosnej wiadomości. Obie przyjaciołki były teraz zmienione, gdyż trwożliwa Beata szczebiotała jak dziecię, a żywa i energiczna zwykle Edyta zaledwie mogła zdobyć się na odpowiedź. Pochyliła tylko znużoną głowę ku twarzy przyjaciołki, ożywionej najpiękniejszym rumieńcem, i odrzekła zcicha:

— Cierpliwości Beato! za chwilę dowiesz się o wszystkiem. Twoja ciotka opowie ci to lepiej ode mnie. Czy słyszysz?

Słuch nie zawiódł. Franciszek wraz z Paulą ukazał się na progu rybackiej chaty. Edyta ułatwiła nieśmiałej przyjaciołce poznanie z krewnymi, a Beata wraz z uściśnieniem swej pięknej ciotki uczuła ostatni ciężar spadający jej z serca.

Opuszczona sierota teraz dopiero uwierzyła, że znalazła nareszcie to, czego tak długo szukała. Franciszek, zamieniwszy parę wyrazów z Edytą, zbliżył się dla powitania Beaty. Ona nie okazała żadnej trwożliwości i z radością podała mu swą drobną, wychudzoną rączynę, uśmiechając się, gdy ją nazwał swoją kochaną siostrzenicą.

W godzinę później było zupełnie głucho w nędznej rybackiej chacie. Światełko, które błyszczało w izdebce, przyświecając powyżej opisanej scenie, zostało zgaszone, a w kuchni, przy świetle łuczywa płonącego na nizkim kominie, siedziała stara rybaczka, głęboko zatopiona w myślach. Nie uważała nawet na gadanie swej córki, opisującej, już może po raz setny, pięknych ludzi bogato ubranych i przepysznej karety, do której wsiadła z niemi blada panienka. Rybaczka musiała myśleć o tem samem, ważąc w ręku hojny dar nieznajomych, otrzymany na odjezdnem. Dziewczyna nareszcie usnęła a matka podparłszy znużoną głowę, oczekiwała na swego lokatora. Ale oczekiwała napróżno — Bill nie wrócił już więcej, i w tym samym czasie kiedy starej zdawało się, iż słyszy jego kroki, szedł on spiesznie przez most Blackfriars, podążając ku Boronghowi, owej dzielnicy stanowiącej przytułek najbrudniejszego motłochu w Londynie.

XVI.
Pod rodzinną strzechą.

Następny poranek zastał naszych podróżnych na wybrzeżu francuzkiem. Krótki wypoczynek wystarczył do odzyskania sił Beacie po zmudnej podróży, którą nasze towarzystwo odbyło z rybackiej wioski, w przeciągu kilku godzin, spiesząc się, aby zastać statek odpływający do Francyi.

Beata pragnęła z niecierpliwością poznania ojczyzny matki i usłyszenia z ust sędziwego dziadka słów przebaczenia i błogosławieństwa. Dawna jej nieśmiałość zniknęła zupełnie pod wpływem serdecznej dobroci Pauli. Dusza jej była teraz ożywiona promykiem nadziei; to rozkoszne wrażenie zabarwiło jej twarzyczkę pięknym rumieńcem. Przeciwnie Edyta, w miarę zbliżania się do celu podróży, stawała się coraz bledszą.

W Kolonii Franciszek, powracając z kasy z biletami, niespodzianie spotkał Gerarda. Uściskawszy się serdecznie, zaczęli sobie wzajemnie opowiadać, co ich tam sprowadziło; zadziwiony Martell zawołał:

— Sądząc z tego co mi pisałeś, myślałem, że sennora de Silvo już dawno znajduje się w zamku swego dziadka.

— Mylisz się mój przyjacielu... Beata dopiero teraz jedzie do niego. Czeka ona właśnie na mnie w tamtej sali z Paulą i miss Frinksly. Pójdź, zaprowadzę cię do niej; znacie się przecie od dawna.

W chwili kiedy nasi dwaj przyjaciele wchodzili do sali, Beata trzymając za rękę miss Frinksly, z zajęciem rozmawiała z nią w języku portugalskim:

— Pozwól mi sennora złożyć sobie powitanie na naszej rodzinnej ziemi!

Na dźwięk ojczystej mowy przez kilka minut patrzyła z uwagą na nieznajomego i nagle, jakby coś przypominając sobie wyciągnęła z radością rękę do Martella.

— Cóż ja widzę! wszakże to przyjaciel mojego ojca. O! jakże mię cieszy ta niespodzianka. Widocznie wszystkie słodycze szczęścia zlewają się na mnie, dla wynagrodzenia długich cierpień. Dzięki! tysiączne dzięki za wasze powitanie sennor.

Edyta tymczasem cofnęła się nieco, stanąwszy obok Pauli, która z uśmiechem przyglądała się powitaniu. Dla Edyty spotkanie z Gerardem było prawdziwą męczarnią, spodziewała się bowiem, że tenże zacznie winszować Franciszkowi jego zaręczyn. Franciszek musiał również podzielać jej obawę, bo

kiedy Martell ochłonął nieco ze swych wspomnień, odprowadził go na stronę, prosząc ażeby w tej chwili zaniechał wszelkiej wzmianki o szczegółach jego ostatniego listu.

Martell spojrzał ze zdumieniem w oczy przyjacielowi, ale nie miał już czasu do dalszych zapytań — pociąg dążący na północ miał odejść za parę minut. Poprzestał więc tylko na pożegnaniu towarzystwa, obiecując, iż niezadługo przyjedzie do starego zamku.

Ale tego samego dnia jeszcze główna brama w Hohenhofen otworzyła się szeroko, na przyjęcie prawej dziedziczki.

Cień wieczorny zapadał zwolna na niwy, góry i doliny, w lesie świegotały ptaszęta, mięszając odgłos swej pieśni z dźwiękiem sygnaturki na Anioł pański, kiedy powóz skręcał w długą topolową aleję, wiodącą ku zamkowi. Łzawym wzrokiem spoglądała biedna sierota na ten uroczy widok, który tyle razy na obrazku matki i we własnych snach widziała. Z silnie bijącem sercem przytuliła się do Pauli, kiedy ta, wyminąwszy marmurową wystawę zamku, poprowadziła ją do pokoju dziadka. Beata nie widziała nic, oprócz pochylonego starca, z siwemi włosy i surową twarzą. Nigdyby w życiu nie zdobyła się na odwagę wejścia przebojem do jego pokoju; nie umiałaby otworzyć ust dla upomnienia się o swoje prawa, gdyż umiała tylko chodzić utorowanemi drogami.

Wszedłszy do pokoju dziadka, puściła rękę Pauli, rzuciła się na kolana przed starcem, i przemówiła:

— Dziaduniu! matka z poza grobu przysyła mnie do ciebie, żebyś mię pobłogosławił — pragnęła tego nadając mi imię Beaty...

Starzec pochylił się ku klęczącej. Teraz poznał najwyraźniej twarz swojej Maryi; oczy jego córki przemówiły wzrokiem mu znanym. Nie mógł się oprzeć błagalnym wyrazom i serdecznie ucałował sierotkę.

Kiedy to się działo w pokoju starca, Edyta śpiesznie opuściła progi zamku. Dzieło jej zostało spełnione, błąd wedle możności naprawiony, z chwilą powrotu Beaty nie było już tu dla niej miejsca. Cóż teraz miała robić w tym zamku, którego pan nigdyby jej nie przebaczył, że go tak oszukała. Czuł on się dotkniętym w swej dumie, że jako stary, doświadczony człowiek, dał się tak łatwo omamić... Ale zato w jego sercu odezwało się stokroć gorętsze uczucie dla Beaty.

Edyta została przez starca bezwarunkomo potępioną; wiedziała o tem i dlatego nie chciała ani jednego dnia dłużej pozostać w zamku.

Była to zarazem chwila rozstania z Franciszkiem. Przez całą drogę myśl o tem rozdzierała jej serce. Teraz zaś skoro wszyscy udali się do mieszkania Hohenhofena, pozostawiając ją samą pod wystawą zamku — sieroctwo i opuszczenie okropnym ciężarem przytłoczyło jej duszę. Za nic w świecie nie byłaby wróciła do pokoju zajmowanego dawniej, obok pokoju Pauli.

Niepostrzeżona wymknęła się do parku i ztamtąd bezwiednie posuwała się coraz dalej. Dokąd miała się udać — o tem nie wiedziała sierota pogardzona od wszystkich, tułaczka bez domu i ojczyzny!

Zdaleka dochodził ją jeszcze ostatni odgłos dzwonu, wzywającego do wieczornej modlitwy. Były to ostatnie dźwięki przemawiające przyjaźnie do jej zbolałego serca. Głos ten oznajmił jej wyraźnie, dokąd się miała udać po radę i pociechę, już spokojniej skierowała się ku kościółkowi, położonemu w dolinie. W parę minut później była przed jego drzwiami, weszła do świętego przybytku. Głęboka cisza panowała dokoła i tylko lampka płonąca przed ołtarzem rzucała niepewne światło na białe ściany. Nikogo w tej porze nie było w kościółku; zupełnie sama jedna stała wobec Boga. Upadła na kolana; pacierza nigdy nie mówiła z gorętszą wiarą. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość przesunęły się kolejno przed jej oczyma; gorzka troska pierzchnęła z jej serca, uwierzyła że jest potężna ręka opiekująca się sierotami.

Długo klęczała pogrążona w modlit-

wie; skoro się podniosła spostrzegła, że już nie była samą.

Franciszek, który niebawem zauważył jej nieobecność, poszedł za nią i został niemym świadkiem jej modlitwy. Spoglądał na nią z miłością i uwielbieniem, ale nie ośmielił się modlitwie przeszkodzić. Teraz dopiero, kiedy obróciła się ku niemu, wyciągnął do niej rękę.

— Edyto! — poszepnął. — Twój cel został osiągnięty, twój zamiar spełniony. Beata znajduje się u dziadka, który jej powrócił należne prawa, ale przyszła kolej i na mnie teraz i ja się odzywam o moje prawa do miłości i opieki nad tobą!

Spojrzała na niego z wyrazem nieokreślonej miłości.

— Szlachetny człowieku, o jakże mi czynisz ciężkiem to rozstanie, które musi nastąpić.

Franciszek ogarnął ją spojrzeniem pełnem uwielbienia.

— Za nic w świecie nie rozstanę się z tobą, Edyto! Tu przed Bogiem przypominam ci twoje słowa, któremi przyrzekłaś zostać moją na zawsze. Nie napróżno przysiągłem wówczas, że cię zawsze kochać będę. Tej przysięgi nie naruszyłem dotąd; wzajemnie zatem mam prawo żądać spełnienia tego, coś mi przyrzekła.

— Nie, Franciszku! — zaprzeczyła raz jeszcze. — To być nie może. Pomiędzy nami stoi moja przeszłość i wuj Bill, którego nie mogę i nie chcę opuścić!

— Ja też tego nie wymagam, najdroższa, i proszę cię, abyś mnie pozostawiła staranie o jego losie.

— Ale... — przemówiła błagalnie, — moja wina jest zbyt wielka. Będziesz-że w stanie kiedykolwiek o niej zapomnieć?

— Nie zapomnę nigdy, Edyto, jak mężnie twoje wielkie serce, pokonawszy obłęd, fałsz i kłamstwo, umiało się wznieść kosztem ciężkiej ofiary na wyżyny cnoty i prawdy. O! tak najdroższa Edyto, — dodał z tkliwością, — nie ci w moich oczach są najlepsi, co nie zbłądzili nigdy, ale raczej ci, co z otchłani grzechu umieją się wznieść bohaterską siłą ducha do światłości. Takiej, jaką jesteś teraz, powierzam ci śmiało szczęście całego życia — a ty nie zechcesz-że z równem zaufaniem złożyć twej ręki w moją, abym cię odtąd prowadził jako dozgonną towarzyszkę?

— O Boże! — zawołała Edyta, — dozwólże mi być godną szczęścia, które na mnie zsyłasz tak niezasłużenie! — I podając rękę Franciszkowi, zakończyła:

— A więc niechaj nas już nic nie rozłączy. Gdzie ty pójdziesz, ja pójdę, gdzie ty zamieszkasz, tam będzie moja ojczyzna. Odtąd twój kraj — moim krajem, a twoje szczęście zadaniem mego życia!

Od opisanych wypadków upłynęło dwa lata. Przeminęły one jak sen uroczy dla właścicieli pięknej willi wiejskiej, położonej nad brzegami Elby, niedaleko Hamburga.

Mieszka w niej Franciszek, który objąwszy zarząd nad wszystkimi zakładami ojczyma, używa sławy milionowego bogacza i człowieka nieskazitelnej cnoty, wraz ze swą piękną żoną Edytą, w której znalazł godną towarzyszkę.

O ile ta ostatnia dotrzymała uczynionego ślubu prawości, tego najlepszym dowodem jest szacunek i miłość wszystkich znajomych. Nawet stary Hohenhofen przestał się już gniewać i wita się z nią serdecznie, skoro przyjeżdża do zamku, dla odwiedzenia Beaty. Tym razem przynajmniej, przykład szlachetnego Bergmannsa znalazł w nim godnego naśladowcę.

Do Bergmannsa, jako do pierwszej ofiary swego podstępu, pospieszyła Edyta, zanim nazawsze połączyły się z Franciszkiem, a jej szczery żal i pokora, z jaką wyznała całą prawdę, nie chybiły celu.

Znalazła najprzyjaźniejsze przyjęcie w tym domu, dla którego przez parę tygodni była promykiem słonecznym. Bergmanns ciągle przypominał sobie z rozrzewnieniem, że z ust Edyty po tylu latach usłyszał wiadomość, jakkolwiek smutną, o kobiecie, która była celem jego jedynej miłości w życiu, i że z jej

rąk otrzymał pamiątkę po Maryi. Nie zapomniał o tem nawet i wówczas, kiedy Edyta wyznawała mu swój podstęp i zamiar przywłaszczenia sobie praw Beaty. Wprawdzie łza zabłysła w jego oczach, ale serce nie wyrzekło potępienia.

— Widzisz moje dziecko! — odezwał się dobrotliwie, — jak to w ręku Bozkiem nieraz nawet i złe w dobre się obraca. Wprawdzie zamiary twoje były naganne, ale Bóg obrócił je na dobre dla nas i dla ciebie. Ja z mojej strony winienem ci tylko podziękowanie. Sędzią twoim być nie myślę, ponieważ i sam nie jestem wolnym od winy. Wszak to ja pierwszy powiedziałem ci, że Franciszek z Paulą chcą sobie przywłaszczyć prawa przynależne córce Maryi; ja pierwszy rzuciłem ci w serce podejrzenie, w które wierzyłem. Zerwawszy ze światem, stra-



A to mu łga o przygodach myśliwskich.

ciwszy wiarę w ludzi, nie wierząc w ich bezinteresowność — z taką łatwością potępiłem najniewinniejszych, najzacniejszych! O Edyto, czyż to nie ja sprawcą nieszczęścia, jakie ścigało biedną Maryą i jej córkę? powinienem się był miłości swej zaprzeć, powinienem był dla Maryi zwrócić poświęcenie ze swego serca i wmówić w jej ojca, żem chciał małżeństwa jako spekulant, dla dobrego interesu handlowego, że zerwanie bynajmniej mnie nie martwi; powinienem był przekonać Hohenhofena, że kochanek Maryi ma duszę stokroć szlachetniejszą od mojej. A jam postąpił jak samolub, który chce miłości tylko dla siebie, nie pytając czy ta miłość będzie życiem czy śmiercią dla ubóstwionej kobiety. O Edyto, jam stokroć winniejszy od ciebie!

Edyta słuchała głosu starca jak głosu z nieba, który przez usta nieskazitelnych zsyła na ziemię pociechę; gdy skończył, zaczęła go błagać, aby jej zastąpił ojca przy ślubie.

— Nie moje dziecko — jam tego niegodny.

— Tyś niegodny? — zapytała ździwiona... — niegodny, że kochałeś...

— Kochałem ale tylko siebie... odpowiedział starzec i zakrył oczy dłonią.

Edyta zrozumiała, że starzec potępiał siebie niesłusznie, aby jej dodać odwagi i wiary; oskarżał swe serce, które właśnie kochało miłością najszlachetniejszą, bo miłością jedyną, co nawet jako wspomnienie przyświecało całemu jego pustelniczemu życiu; oskarżał się, bo chciał pocieszyć Edytę, że są ludzie stokroć od niej gorsi.

Nie mogąc uzyskać obietnicy, że będzie obecnym na jej ślubie, błagała chociaż o błogosławieństwo; całując drżącą rękę starca, mówiła:

— Pobłogosław... nawróconą grzesznicę... pobłogosław...

Łkanie rozrywały wyrazy.

— Błogosławię — chociaż tegom niegodzien. I ręce starca spoczęły na głowie klęczącej dziewicy, a oczy jego wzniosły się ku niebu. Serce mu w tej chwili uderzyło młodzieńczym zapałem — twarz jaśniała miłością — tam w górze zobaczył swoję drogą Maryą.

Pauli niema już oddawna w zamku; miejsce jej we wszystkiem zajęła Beata. Przy ożywczym promieniu domowego szczęścia rozwinęła się ona jak uroczy kwiatek. Każdy kocha ją serdecznie, ale jest pewien człowiek, który w tem przewyższa wszystkich — to dobry nasz znajomy Gerard Martell. Gdybyśmy naruszyli tajemnicę listu Beaty do jej dawnej przewodniczki, siostry Klemencyi, zakonnicy w Rio Janeiro, przekonalibyśmy się, że na przyszłą wiosnę odbędzie się w zamku wesele.

A Paula? ta wyższa istota już dziś jako siostra Teresa, w zakonie Ś-go Wincentego z Pauli, jest aniołem opiekuńczym ubogich i chorych. Nie przybędzie ona na zaślubiny Beaty, ale przybędzie jeśli nieszczęście jakie lub choroba przywołają ją do zamku. Są wybrani, którzy swe szczęście kryją, aby je oddać nieszczęśliwym.

KONIEC.

KRZYŻ PRZY DRODZE.

Szedł raz człowiek zadumany,
Głowę od trosk posiwiałą
Na pierś zwiesił, a łachmany,
Które zwiędłe kryły ciało,
Bezprzestannie łzami rosił,
Czasem wzrok ku niebu wznosił.

Gdy tak szedł i szedł — z daleka
Krzyż spostrzega; tam spoczywa,
Tam pociechy dla się czeka,
Tam pomocy dla się wzywa,
Tam spokojnie snu spragniony
Usypia starzec znużony.

Usnął, we śnie pierś się wzdyma,
Snadź się wewnątrz burza kryje,
I choć ciało życia niema,
Lecz duch działa, lecz duch żyje,
I jak strzała w przeszłość wpada,
I jak wieszcz swą przyszłość zgada.

Twarz się starca nagle zmienia,
I ponurość schodzi z czoła,
O! bo młodych lat zdarzenia,
Wiek szczęśliwy, myśl wesoła,
We śnie jeszcze raz wróciła,
O! bodaj się dłużej śniła.

Lecz jak prędko lata schodzą,
Prędzej jeszcze mkną marzenia,
A najprędzej w śnie się rodzą,
Giną szczęścia, trosk wspomnienia,
Starcze! starcze! krótkie chwile,
Gdzie ty we śnie marzysz mile!

Oto znowu, twarz twa blada,
I pot zimny czoło zlewa,
Jakby całun, który składa
Śmierć na życie twe, już chciwa,
O! znam, znam ja twe cierpienia,
To są przygód złych wspomnienia!

Tak raz drugi starzec żyje,
We śnie widzi swoją żonę,
Widzi śmierć, która ją kryje,
Widzi dziecię swe stracone,
Drugie cisnąć chce do łona,
A to w oczach jego kona.

Potem ogień i źli ludzie
Niszczą całe jego mienie,
Co on zebrał w pracy, trudzie,
Dziś nic niema — dziś zniszczenie —
Jeden jeszcze syn zostaje,
Los go wygnał w inne kraje.

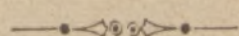
Lecz i ten w śnie mu się zdawa,
Że już wraca, doń przybywa,
Z łzą radości przed nim stawa,
Wtem się starzec nagle zrywa,
Niby chce uścisnąć syna,
Lecz ostatnia dlań godzina!

Szuka, szuka bezprzytomny
Niby dziecię powrócone.
Objął ręką krzyż ogromny,
Zwrócił oko w nieba stronę,
I ze słowem: Synie! synie!
Zrozpaczony ojciec ginie.

Z krzyżem życia dążył biedny,
By pod krzyżem oddać tchnienie,
Bo w krainie niebian jednej
Jest nagroda za cierpienie.
Bo sam Chrystus na nas wzywa:
Droga krzyża jest prawdziwa!...



Trzechsetna rocznica Unii Brzeskiej.



Piękną i wiekopomną rocznicę obchodzili w zeszłym miesiącu bracia nasi Rusini we Lwowie na pamiątkę połączenia Kościoła wschodniego, czyli greckiego z zachodnim, czyli rzymsko-katolickim, w Brześciu litewskim. Połączenie to, z łacińska unią nazwane, ważne dla całego świata katolickiego, w dziejach naszego Kościoła i narodu stanowi jedno z najpiękniejszych i najdonioślejszych zdarzeń. Wypada tedy i nam wielką tę chwilę dziejową uczcić wspomnieniem i czytelnikom naszym chociaż w krótkości historyę Unii Brzeskiej przypomnieć.

Starożytne państwo rzymskie wraz z podbitą Grecyą obejmowało po narodzeniu Chrystusa Pana cały prawie znany wówczas świat w Europie, Afryce i w części Azyi, a pogańscy cesarze rzymscy, jak wiadomo, srodze za wiarę Chrystusową prześladowali. Dopiero jeden z nich, Konstantyn Wielki w IV wieku na wiarę Chrystusową się nawrócił, a jeden z jego następców, Teodozyusz, całe to wielkie państwo między dwóch synów podzieliwszy, jednemu dał kraje zachodniej Europy ze stolicą w Rzymie, drugiemu Grecyę całą i posiadłości azyatyckie, ze stolicą w Konstantynopolu. Podział ten stał się też przyczyną rozdziału Kościoła katolickiego na zachodzie, czyli rzymsko-katolicki, i na wschodzie czyli grecki, albowiem patryarchowie konstantynopolscy, z biegiem czasu wprowadzając odmienne obrzędy i język, powoli doszli do takiego rozdwojenia w jednym powszechnym Kościele, że nawet w samej świętej wierze powstały w trzech głównych punktach różnice, a mianowicie przyjęto, że Duch św. pochodzi tylko od Ojca, odrzucono naukę o czyścu, a Ojca św. nie za głowę całego świata chrześciańskiego, lecz tylko za patryarchę zachodniego Kościoła uznano.

Stało się więc odszczepieństwo, czyli schizma, a Papież Leon IX zmuszony był wykląć patryarchę Michała w Konstantynopolu, który się najwięcej i ostatecznie do tego odszczepieństwa przyczynił. Cała Ruś a za nią Moskwa, w X wieku ochrzcona, mając wówczas stosunki polityczne i handlowe przeważnie z Konstantynopolem, ztamtąd wzięła schizmę i trwała w niej aż do połączenia się z Polską. Jagiełło, książę litewski i pan ziem ruskich, przez małżeństwo z Jadwigą, z poganina katolik, łącząc Litwę i Ruś z Polską, otworzył pierwszy poddanym swoim Rusinom-schizmatykom drogę do pojednania z Kościołem rzymsko-katolickim. W r. 1439 w mieście włoskiem Florencyi podczas odbywającego się soboru zjawił się Metropolita kijowski Izydor i do Unii przystąpił, uznając za jedy-

nego zwierzchnika duchownego w całem chrześciańśtwie Ojca św., podówczas Eugeniusza IV. Cała Ruś z radością powitała wracającego z soboru florenckiego Izydora, głoszącego światu wschodniemu te wielkie słowa: »Jeden tylko jest Bóg i jeden Kościół!«

Nie długo trwała ta Unia. Ciemnota moskiewskich bojarów i popów z carem Wasylim nie dopuściła u siebie światła rzymskiego, a zarazem zdołała nawet i na Rusi naszej odszczepieństwo przywrócić. Metropolita zaś Izydor, gdy się do Moskwy z uchwałą Florencką udał, wtrącony został do więzienia a uciekłszy ztamtąd, w Rzymie, wierny Unii, żywota dokonał.

Tymczasem upływały wieki i pomimo powtórnego politycznego i narodowego połączenia Litwy z Polską przez króla Zygmunta Augusta w Lublinie 1569 roku, Unia religijna nie mogła wyprzeć schizmy, popieranej przez Moskwę i konstantynopolskich patryarchów, którzy po zdobyciu przez Turków wschodniego państwa rzymskiego, tem mniej wpływom rzymskiego kościoła ulegali. Na Litwie król Aleksander, przyjąwszy w małżeństwo carównę moskiewską Helenę, gorliwą schizmatyczkę, mając na widoku zabezpieczenie się od napadów Moskwy, mniej od poprzedników mógł podtrzymywać Unię wobec wpływów Moskwy i władzy patryarchów moskiewskich, którzy nad całą Rusią polską przewagę religijną zdobyć usiłowali. Biskupi schizmatyccy często bez żadnej nauki, bo zaledwie czytać i pisać umiejący, nie mogli jednak skutecznie opierać się Unii. Patryarcha konstantynopolski Jeremiasz, który przybywszy do Moskwy, za wielkie pieniądze nadał Metropolicie moskiewskiemu tytuł patryarchy na całej Rusi, a w Kijowie za mianowanie w miejsce niegodnego Dziewoczki Metropolitę Michała Rahozę, żądał także sowitej zapłaty, oburzył do reszty ludność ruską, tak iż co lepsi poczęli



OPOWIADANIA BABUNI O STRACHACH.

do Unii wracać, w czem wielką zasługę położyli tacy mężowie, jak Piotr Skarga i biskup Łucki, Bernard Maciejowski. Wielka nauka i wielkie kapłanów tych cnoty, blaskiem swym rozjaśniły ciemności dusz schizmatyckich. Cyryl Terlecki, biskup schizmatycki w Łucku, pierwszy udał się do króla Zygmunta III, do kanclerza Jana Zamojskiego, oraz do największego pana na Rusi i schizmatyka księcia, Konstantyna Ostrogskiego i rozpoczął z nimi układy w sprawie powtórnego i trwalszego już zjednoczenia z Rzymem ludności ruskiej. Wkrótce tenże Cyryl Terlecki w domu biskupa Maciejowskiego poznał się z Hipacym Pociejem z zakonu Bazylianów, natenczas biskupem Włodzimirskim i obaj pojechali do Rzymu. Tu Papież Klemens VIII radując się wielce z przybycia tych mężów, przyjął od nich wyznanie wiary, zgodził się na pewne odrębne obrządki, o które Rusini prosili i polecił zwołać Synod, który się też dnia 9-go października 1596 roku zebrał w Brześciu litewskim nad Bugiem. W mieście tem wjazd był wielki i wspaniały. W cerkwi św. Mikołaja zasiedli z jednej strony najwyżsi przedstawiciele Kościoła ruskiego, jak metropolita kijowski Michał Rahoza, biskupi: Włodzimirski, Hipacy Pociej i łucki Cyryl Terlecki, kniaź Konstantyn Ostrogski oraz liczne duchowieństwo i panowie ruscy — z drugiej strony, biskupi katoliccy: Dymitr Solikowski ze Lwowa, Bernard Maciejowski z Łucka i Stanisław Gomuliński z Chełma, jako posłowie Ojca św., wreszcie sławny ksiądz Piotr Skarga, posłowie króla Zygmunta III, Leon Sapieha i Mikołaj Radziwiłł oraz wielu innych.

Głównym aktem tej wiekopomnej i jednej z najpiękniejszych uroczystości, było dobrowolne oświadczenie biskupów ruskich, odczytane przez Arcybiskupa ruskiego z Płocka Hermogiena, w tych słowach: »My, biskupi ruscy, pamiętajmy o tem, że Jezus Chrystus

Kościół tak założył, aby na jednym Piotrze jako na opoce mocno stał i przez niego był rządzony, aby u jednego ciała jedna głowa, a w jednym domu jeden był gospodarz. Uznajemy więc Papieża rzymskiego ojcem i nauczycielem całego chrześciaństwa i prawnym św. Piotra następcą, nie chcemy zaś nadal uczestniczyć w odszczepieństwie konstantynopolskim!« W wielkiej prawdziwie chrześciańskiej radości biskupi katoliccy poczęli się całować z biskupami ruskimi wśród dzwięków pieśni ruskiej: »Chwała bądź Bogu, w Trójcy jedynemu«, poczem wszyscy się udali do kościoła łacińskiego Panny Maryi, gdzie po odśpiewaniu dziękczynnej pieśni: »Te Deum laudamus«, usłyszano jedno z najpiękniejszych kazań księdza Piotra Skargi: »O jedności Kościoła Bożego!«.

Gdy się to działo, na drugim końcu miasta Brześcia odbywał się zjazd wysłańców patryarchy Jeremiasza pod przewodnictwem Nicefora, Greka. Odpadli też wkróce od połączonego Kościoła tacy wpływowi na Rusi ludzie, jak Konstantyn Ostrogski oraz biskupi: lwowski Bałaban i przemyski Kopystyński, a za nimi 1000 cerkwi. Pozostało jednak wiernych Unii z górą 2000 cerkwi, dzięki gorliwości Pocieja, który po Rahozie został metropolitą kijowskim i do utwierdzenia Unii Brzeskiej najwięcej się przyczynił.

OPIUM I MISYE W CHINACH.

(Dokończenie.)

Ze wszystkich niemal wikaryatów olbrzymiego niebieskiego cesarstwa, otrzymujemy mniej lub więcej identyczne szczegóły w tej mierze.

»Największą tamą do rozkrzewienia wiary świętej, skarżył się w r. 1877 X. biskup Lions, wikaryusz apostolski Kui-Czeu — jest użycie opium, które w naszej missyi, a zwłaszcza w powiatach Gan-Czuen i Hin-Ny-Fu stało się prawdziwą zarazą, ogarniającą wszelkie warstwy spółeczeństwa. Zgubny ten nałóg powstrzymuje wielu pogan od nawrócenia, a nawet wpływa bardzo ujemnie na neofitów i katechumenów, zniechęcając ich stopniowo do religijnych praktyk, a nawet wiodąc niekiedy do zupełnego odstępstwa.

»Skutkiem ostatnich rozruchów mieszkańcy tej prowincyi wpadli w wielką nędzę, wielu zaś neofitów nie posiada dość silnej wiary i energii, aby módz się wyrzec zysku z uprawy maku i sprzedaży opium, której Kościół surowo im zabrania. Wszelkie zakazy rządowe, jak to już wiemy z doświadczenia, nie wywierają nigdy pożądanego skutku.

»Tak naprzykład, w roku bieżącym mandarynowie otrzymali z Pekinu nowy rozkaz zniesienia we wszystkich prowincyach dotychczasowej uprawy maku i wszędzie niemal rozlepiono niebawem odpowiednie ogłoszenia. Jestem wszakże przekonany, że i tym razem nie wydadzą one żadnych pomyślnych wyników, gdyż pochodzą od prefektów miejskich, w których domu palenie opium oddawna weszło już w modę. Wszystkie te dekreta są dla nas tylko pobudką do tem gorliwszego oświecenia naszych wiernych, w celu skłonienia ich do posłuszeństwa względem państwa i Kościoła«.

Przytoczmy teraz takież same niemal świadectwo z Kiang-Nanu. »Pytacie mię — pisze O. Andree, misyonarz pracujący w jednym z zachodnich powiatów tej prowincyi — czy i tu również istnieje zgubny zwyczaj palenia opium? Tak, niestety i zamiast się zmniejszyć, na coraz szerszą rozwija się skalę, wywierając wpływ okropny na fizyczne i moralne władze zaślepionych swych zwolenników.

Fizycznie podkopuje opium zdrowie i mienie człowieka, moralnie zaś czyni go niezdolnym do działania i wszelką usypia w nim energię. Jeżeli palaczami są chrześcianie, to zaczynają niebawem unikać wszelkich praktyk religijnych, a wreszcie zapominają całkowicie o swych obowiązkach, jako katolików, małżonków i ojców, i stopniowo toczą się na dno przepaści. Jakżeby można ich poprawić? Trudne zaiste to zadanie. Wielu

nieszczęśliwych oświadcza otwarcie, że nie mają już siły do wyrzeczenia się swego nałogu i chociaż pragnęliby szczerze naprawić życie, lecz dotychczasowe nawyknienia zbyt silnemi krępują ich więzami. Zgubny ten zwyczaj rozpowszechnił się we wszystkich klasach, od najniższych aż do najwyższych i odgrywa w Chinach rolę jednego z najpotężniejszych rozkładowych czynników, będąc niby wrzodem, lub gnijącą raną w ciele tego państwa. Wprawdzie mandarynowie ogłaszają jednę odezwę po drugiej w celu wykorzenienia takiego nadużycia, ale sami, niestety, dają zły przykład, gdyż urzędowe ich biura bywają zwykle przepełnione palaczami opium. Każdy więc wysnuwa ztąd wniosek, że rozkazy ich są wyrazem bez treści i żadnego do nich nie przywięzuje znaczenia. W dziele rozkrzewiania Ewangelii nałóg ten olbrzymią stanowi przeszkodę, zwykle bowiem palacze opium zajmują względem Kościoła i religii chrześciańskiej wrogie opozycyjne stanowisko«.

Oto nakoniec sprawozdanie w tej mierze otrzymane w najnowszych czasach z Kuang-Si:

»Główną przeszkodę do postępu religii chrześcijańskiej w tym kraju, stanowi opium — pisze pewien misyonarz. — Ten kto nie był naocznym świadkiem szkodliwego wpływu, jaki ono wywiera, nie może mieć o nim najmniejszego pojęcia. Nie przesadzę wcale, mówiąc, że opium psuje ciało i duszę. Opieszałość i lenistwo, będące zwykłym jego następstwem, sprowadzą stopniowo utratę mienia i mnożą ilość złodziei, na których w Chinach i bez tego nie zbywa. Palacz opium staje się nieczułym na wszystko i wówczas nawet, gdy się na czas pewien poprawi, można, niestety, być przekonanym, że prędzej lub później wróci do swego nałogu. Proszę zaś sobie teraz wyobrazić, że wszyscy niemal Chińczycy od najstarszych do najmłodszych używają tej powolnej wprawdzie, lecz zabójczej trucizny. Znam dwunastoletnie dzieci, które już palą opium z takim samym zapałem, z jakim u nas w Europie kilkunastoletni chłopcy palą ukradkiem papierosa lub cygaro. Wszyscy też mandaryonowie i ich podwładni należą do nałogowych palaczy«.

Podobnych świadectw moglibyśmy przytoczyć całe setki, sądzimy jednak, że powyższe wystarczą aż nadto, aby przekonać każdego, iż przeklęta ta trucizna nader smutną w dziejach misyi chińskich odgrywa rolę.

4) Pozostaje nam jeszcze do rozstrzygnięcia pytanie, jakie stanowisko zajął Kościół katolicki względem kwestyi palenia opium. Łatwo można się domyślić, że tak szeroko rozgałęziony występek stawiał niekiedy misyonarzy w nader przykrem położeniu, zmuszając ich do szukania w Rzymie rad i wskazówek. Liczne otrzymywane ztamtąd odpowiedzi i przepisy, malują jak najdokładniej stanowisko, zajęte przez Stolicę Apostolską względem powyższej kwestyi.

W r. 1891 Kongregacya Inkwizycyi świętej zebrała wszystkie poprzednie wskazówki w jedną systematyczną całość, to jest streściła je w instrukcyi, skreślonej dla wszystkich wikaryuszów apostolskich w Chinach i sąsiednich państwach. Instrukcya ta, zawierająca obraz całego trybu postępowania, jakiego misyonarze mają nadal się trzymać, dzieli się na sześć części. W pierwszej z nich zaznaczono, że Stolica Apostolska nie zabraniała nigdy uprawy, handlu i użycia opium o tyle, o ile było ono niezbędne do rozsądnych lekarskich celów. Powtóre, dekreta wydawane poprzednio i zawierające bądź surowy zakaz używania opium, bądź też tolerowanie tego zwyczaju, należy sądzić podług szczegółów zawartych w odezwach misyonarzy, na które były one odpowiedzią. Nie można więc ich uważać za wyrok bezwzględny, lecz tylko za to, czem były one w istocie, t. j. za rozstrzygnięcie tej kwestyi w danych warunkach i okolicznościach. Wówczas z łatwością każdy się przekona, iż nie zawierają żadnych wogóle sprzeczności. Po trzecie, ze wszystkich poprzednich dekretów Stolicy Apostolskiej wynika, że potępiała ona

zawsze niewłaściwe używanie opium w Chinach, jako występne nadużycie i zalecała wikaryuszom apostolskim walczyć z niem jak najenergiczniej. Po czwarte, od r. 1852 handel opium został surowo wzbroniony przez Kongregacyę Inkwizycyi, która nie zmieniła swojego wyroku nawet wówczas, gdy wikaryusze apostolscy zawiadomili ją w r. 1858 o zniesieniu przez rząd chiński tego zakazu. Po piąte, nawet częściowe upoważnienie do sprzedaży opium, udzielone w roku 1878 kilku zubożałym skutkiem wojny powiatom, nie oznacza wcale zniesienia wszystkich poprzednich dekretów, ale tylko stanowi wyjątek, podobnie jak polecenie, aby misyonarze nie zmuszali nałogowych palaczy do niezwłocznego wyrzeczenia się opium, jeżeliby to było połączone z niebezpieczeństwem śmierci, lub miało wywrzeć wpływ ujemny na zdrowie. Podobne wyjątki nie naruszają wcale ogólnego prawa przeciw użyciu i sprzedaży opium. Po szóste, z tego co powiedziano wyżej, wypływają następujące wnioski:

1. Uprawa i sprzedaż nie zawiera sama w sobie nic nagannego, ponieważ jednak w Chinach staje się powodem do rozmaitych nadużyć, przeto chrześcijanom chińskim trzeba zabronić jej stanowczo.

2. Tożsamo stósuje się do handlu, który również sam przez się nie jest naganny, lecz w Chinach staje się źródłem rozmaitych występków. Dlatego też nietylko chrześcianie nie powinni mieć prawa trudnić się nim bezpośrednio, ale nawet nie mogą pośrednio go popierać, pożyczając pieniądze handlarzom opium, lub wydzierżawiając swe grunta na uprawę maku.

3. Takie używanie opium, jakie wprowadzone w Chinach, uważane jest przez Kościół za występne nadużycie i najsurowiej wzbronione.

4. Umiarkowane użycie opium dozwolone może być tym tylko, dla których stało się nałogiem, tak dalece, że wyrzekłszy się go, naraziliby się na śmierć, lub ciężką chorobę. W takim razie opium musi być użyte, jako lekarstwo, pod warunkiem unikania wszelkich nadużyć i szkodliwych ich następstw.

Powyższa instrukcya kończy się następującemi słowy: »Święta Kongregacya nie wątpi, że wszyscy kapłani, pracujący w Chinach i sąsiednich państwach, jako opowiadacze Ewangelii, dołożą wszelkich możliwych starań w celu zniechęcenia tamtejszych chrześcian do uprawy, handlu i używania opium, bądź za pomocą ciągłych przestróg i napomnień, oraz odpowiednich pism, bądź za pośrednictwem zakładania towarzystw wstrzemięźliwości, lub też jakiemikolwiek innymi środkami, które stósownie do okoliczności wydadzą się im najodpowiedniejszymi do osiągnięcia zamierzonego celu.

»Co do postępowania z nałogowymi palaczami, to wiele trafnych wskazówek znajdzie się w dziełach znakomitych moralistów katolickich, których misyonarze ściśle trzymać się powinni.

»Dan w Rzymie dnia 20-go Grudnia 1891 roku.«

Jak wiadomo, rząd angielski wyznaczył przy końcu 1893 r. własną komisyę, która miała zbadać wszelkie zarzuty, czynione wielko-brytańskiemu handlowi opium i uspokoić opinię publiczną. Wynik tego śledztwa wypadł naturalnie na korzyść handlarzy, gdyż wszystkie stawiane im zarzuty, postarano się odmalować, jako potwarze, lub przesadzone obawy nierozsądnych filantropów.

Z tego, cośmy powiedzieli, łatwo można się domyśleć, jak należy się zapatrywać na ten wyrok komisyi wielkobrytańskiej. Jeżeli jednak katoliccy misyonarze i katolickie dzienniki w Indyach podzielają również to zdanie, nie należy zapominać, że sąd ich dotyczy jedynie skutków używania opium w Indyach wschodnich. Zaznacza to między innymi katolicki X. Arcybiskup Kalkuty w liście otwartym, dotyczącym kwestyi palenia opium.

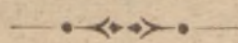
Rzeczywiście umiarkowane użycie opium w Indyach nie wywiera wcale tak szkodliwego i demoralizującego wpływu, jak w Chinach.

Z tego więc powodu powyższe zdanie katolickiej prasy w Indyach nie usprawiedliwia wcale angielskiego handlu z Chinami, który jest i pozostanie zawsze plamą na honorze tak dumnej ze swej uczciwości Anglii.

Bolesną i haniebną zarazem jest rzeczą, iż chrześciańskie europejskie narody mają tak niedokładne pojęcie o swych obowiązkach względem biednych pogańskich braci, iż zamiast popierać chrześciaństwo, przyczyniają się jedynie przez chciwość do moralnej i materyalnej zguby tych ludów, dostarczając czerwono-skórym gorących trunków, żółtej zaś rasie zabójczego opium.



Z ALWERNII WŁOSKIEJ.



Zdawałoby się czasem, że święci miewali chwile kaprysów. Po co im to upodobanie w samotnych, odludnych, dzikich miejscach, w parowach poszarpanych gór, w czeluściach skalnych? Trudnoby było dać światu dzisiejszemu, pogrążonemu w błogiem używaniu znikomych dóbr ziemskich, zatopionemu w wirze szalonego życia, porwanemu kołem ruchu wszechświatowego, na to zadowalniającą odpowiedź. A jednak i on czołem uderzyć musi przed tymi mężami żyjącymi ongi w samotności; i on odczuwa wzniosłość ich poświęcenia; i on uznaje potrzebę życia samotnego, choć sam do samotności zastósować się nie zdoła. Dlaczego święci upodobali sobie w samotności? Bo tam byli bliżej Boga i szczęśliwości; bo tam uwalniali się stopniowo od pyłu ziemskiego; bo tam skupiali w sobie siły żywotne spotęgowane bliskością i wpływem Boga, które potem rozsiewali wśród ludzkości pogrążonej w niepewności, w zwątpieniu, w mule ziemskim. Tym sposobem czasem wychodzili ztamtąd nieznani wprzód olbrzymi ducha, którzy brali swój wiek na barki, przekształcali go, napełniali pierwiastkami nowymi. A wieki przyszłe padały przed nimi na kolana, uznawszy w nich przewodników i dobroczyńców narodów i społeczeństw.

Czasem jednak wcale nie wychodzili z samotności, ani światu nie pokazywali się. W niej woleli spędzić cały żywot; pogrążeni w Bogu, utożsamieni z naturą ich otaczającą, choć na ziemi, już szczęśliwością wieczną oddychali; choć jeszcze obieżami świata otoczeni, nie skrępowani, już z nich niemal wyzuci, bo światłem zaziemskiem olśnieni. A czy mniemać będziemy, że te członki rodziny ludzkiej były bezużyteczne dla społeczeństwa? Och, nie! Oni z tych miejsc odludnych i samotnych wysyłali swych posłańców pod postacią duchownych węzłów, które ludzkość wiązały z Bogiem, doń ją zbliżając i popychając. Oni wypraszali wzdychaniem nocnem i jękiem rzewnym od Boga moc, która otaczała ich braci w odmęt ziemi wtrąconych niewidzialną siecią pobudek szlachetnych, idei nowych i lepszych, czynów rozlicznych i miłosiernych. Te duchowe węzły i ta niewidzialna sieć natchnień Boga wyproszone za wstawieniem się świętych pustelników sprawiały zbiorowe podniesienie się bądź narodu danego, bądź społeczeństwa i wtrącały ludzkość na tory prostsze i wartsze postępu i cywilizacyi. Gdyby się zjawił jaki genialny człowiek i okiem duchowem rzucił na te zdobycze płynące z kontemplacyi ludzi w samotności żyjących, tenby z pewnością według prawa niewątpliwego, że nic na świecie nie ginie, obliczyć umiał, ile dobrodziejstw spłynęło na dany wiek lub naród z życia samotnego świętych. Czy umartwienia pustelników Tebaidy poszły na marne? Czy góra Athos napróżno brzmiała jękiem nocnym zakonników? A grota Magdaleny przy Marsylii, pieczary Hieronima przy Betleem, pustynia Franciszki w Egipcie,

ażali nie wylały potoku dobrodziejstw na dusze ludzkie? Czy Bielany krakowskie bezcelowo i bezskutecznie zostały wzniesione przez dobry naród polski? I za to nie miałby żadnej otrzymać u Boga nagrody i łaski?

Św. Franciszek jednak nie był z tych ludzi samotnych, którzy jedynie sobie i Bogu żyjąc, dla społeczeństwa dopiero pośrednio pracują. Była to natura zbyt czynna i energiczna, aby mogła wyłącznie na rozmyślaniu poprzestać. Lecz również była to dusza tak rozkochana w Bogu, że samo życie czynne bez namaszczenia samotności zadowolnićby ją nie było mogło. Połączył więc ów Święty życie czynne z życiem rozmyślającem; a połączył tak ściśle, że się wzniósł ponad wieki i stał się po Chrystusie i św. Pawle jednym z największych ludzi społeczności chrześciańskiej. Kiedy mąż ów mniemał, że zawód jego czynny wśród ludzi, składający się z przykładu, którym szukał Chrystusa, ze słowa, którem wielbił Chrystusa, z myśli i uczynku, któremi rozpowszechniał Chrystusa, wymaga wypoczynku i naprawy, aby dusza nie była na szwank wystawiona lub prochem ziemskim owionięta, wtedy uciekał do samotności. Tam święty żył tylko Bogu, jego wielkość i dobroć rozmyślał. Tam podawał ucho wewnętrznym natchnieniom, któremi Bóg obficie nagradzał go, wskazując mu drogi, jakiemi wznosić się doń coraz wyżej można, jakiemi naprawę społeczności przedsięwziąć i wykonać, jak dzieło wszechświatowe utwierdzić, kościół sam podnieść i uwolnić od naleciałości ziemskich. Tam ciało jego wątlało i zamierało, podbite postami i czuwaniem, ale za to duch jego rozrastał się coraz szerzej i wyżej i szybował lotnie ku niebu po szlakach duchowych zwykłym śmiertelnikom niedostępnych. Tam odbijały się o skalne wądoły lub gaje cieniste echem jego wzdychania i jęki, lot biorąc do Pana Niebieskiego, od którego wysłuchane wracały na padół ziemski w postaci kojącego balsamu rozlewającego się po zbolałych sercach ludzkości.

»O Franciszku!
Ślepym był świat; tyś mu wzrok przywrócił.
Trądem okryty; tyś go oczyścił.
Umarłym; tyś go wskrzesił.
Do piekieł się chylił; tyś do nieba prowadził.«
(Siemieński)

Po nawróceniu swem św. Franciszek niczego tak gorliwie nie pragnął jak samotności. To też skwapliwie szukał wszędzie miejsc odludnych, podatnych do modlitwy, rozmyślania, umartwienia. Pomiędzy wszystkiemi jednak zasłynęła najbardziej góra Alwernia, położona pomiędzy źródłami Arnu i Tybru; góra ze wszystkich po Golgocie najświętsza i najwspanialsza. Tam bowiem spełniło się zdarzenie jedyne po męce Chrystusa w dziejach cudu: Otrzymanie blizn św. Franciszka.

W marcu roku 1215 przybył mąż boży z Hiszpanii do Asyżu, gdzie mu oświadczono, że jego wielki zwolennik i dobroczyńca hr. Orlando Cattani ofiaruje na pobyt wieczysty jego i jego braci górę Alwernię, miejsce odludne, oddalone od wrzawy świata, wolne od pokus grzesznych. Św. Franciszek ucieszył się tą wiadomością i bezzwłocznie tego samego roku w sierpniu postanowił sam zwiedzić górę. Zabierając ze sobą czterech towarzyszy i puszczając się w drogę, tak przemówił do nich, jak to był zwykł czynić: »Ty, bracie Mateuszu, będziesz naszym stróżem w czasie tej podróży, zachowując nasz zwyczaj, to jest odmawiając w swoim czasie obrządek święty, lub rozmawiając o Bogu, albo zachowując milczenie święte; nigdy zaś nie będziemy myśleć, co będziemy jedli, dopóki nie przyjdzie godzina; a wtedy będziemy żebrali od drzwi do drzwi, a gdzie nam Bóg przygotuje przytułek, tam zamieszkamy.« Czyż nie odgadł ducha swego patryarchy jeden z jego wiernych synów, kiedy w tych wierszach opiewał tę cnotę, którą św. Ojciec najwięcej cenił, zowiąc ją swą oblubienicą: ubóstwo:

»Ubóstwa słodka miłości
Czemże cię serce ugości!
Tyś maluczka, ubożuchna,
Jak pokora, twoja druchna.

Nie potrzeba ci nakrycia
Do jedzenia i do picia,
Krom korzonków, wody, chleba,
Ubóstweczku nic nie trzeba.

Wybredniejszą zadowoli
Dorzucona szczypta soli,
Spokój znać w jej każdym kroku,
Nie dopatrzeć troski w oku.

Nie dla niej zastawne stoły,
Obiad je na ziemi gołej,
Lecz na śmierć idzie bez wstrętu,
I nie pisze testamentu.

O spadek po niej najpewniej
Nie pokłócą się jej krewni
O ubóstwo! skarbie nieba,
Tobie z ziemi nic nie trzeba. (*Siemieński*)

Cóż za prostota i ufność w Opatrzność Bożą tego męża bożego! Przybywa na górę Alwernią i bierze ją w posiadanie, powodowany nie darem ludzi nie własnym popędem, nie chęcią posiadłości, lecz tylko — oznakami radosnemi tulących się doń zwierzątek skrzydlatych. Oto bowiem co mówi na wstępie do swych towarzyszy: »Wierzę, o bracia najmilsi, że jest wolą Pańską, abyśmy na tej górze samotnej zamieszkali, ponieważ taką radość i wesele z naszego przybycia okazują nasze braciszki ptaszki.«

(Dokończenie nastąpi.)



ZBIEGOWIE Z WYSPY ZACHALIN.

(Ciąg dalszy.)

W tym czasie udało się Wasylemu namówić do ucieczki jeszcze dziesięciu innych aresztantów, wszystko rosłych chłopów i na wszelki sposób starał się ożywić starego Burana. Udawało mi się to od czasu do czasu; ale za każdą razą kończyło się wszystko na przepowiadaniu trudności, połączonych z ucieczką i na nieszczęsne znaki, zapowiadające jemu niedaleki koniec życia.

— Ja i tak śmierci już nie ujdę! — mawiał z bolesnem westchnieniem. Miał jednak od czasu do czasu jaśniejsze chwile i wtedy rozpowiadał o swych dawniejszych ucieczkach.

— Trudno bardzo z wyspy uciec. Z jednej strony znajdują się gęste lasy, gdzie dzikie zwierzęta niejednego już rozszarpały, z drugiej zatoka Dié, gdzie morza na trzysta wiorst szerokiego przepłynąć na łódce nie podobna. Możemy chyba od północy popróbować szczęścia. Tam morze jest nieco węższe i tam w danym razie łódką przepłynąć będziemy mogli. Lecz to muszę ci nadmienić, że i tu bez niebezpieczeństwa się nie obędzie. Przechodzić będziemy musieli obok trzech wart moskiewskich, z których trzecia, jak już jej nazwa »zniszczenie« wskazuje, jest najgorsza i najniebezpieczniejsza. Słuchajcie dalej. Gdy nas będą wywoływać do budowy młyna, pokładźcie na wóz, na którym będą ładować prowizyą, wszystko, czego wam do podróży potrzeba. Nic się nie wyda, bo w młynie jest towarzysz, który także pragnie się przyłączyć do nas, więc postara się o to, ażeby nam się wszystko napowrót do rąk dostało. Ztamtąd puszczamy się w drogę. Przez trzy dni wolno nam robić, co nam się podoba. Jest bowiem prawo, że każdy może trzy dni wałęsać się po wyspie, ażeby wypocząć, zanim powróci do koszar. Dopiero w czwartym dniu nieobecności ogłaszają go zbiegiem a im dłużej jest nieobecnym, tem gorsza kara. Zaczyna się od knuta, przystępuje w dalszym ciągu do »kozła«, a w końcu do rozstrzelania...

— Pocóż nam te wskazówki, — wtrącił Wasyli, — my i tak nie powrócimy.

— Daj Boże, ażeby się to nie stało.

W następnym dniu wszyscy byli gotowi do ucieczki. Brakowało jedynie Burana. Dzień cały zbiedzy byli już w drodze, Burana jeszcze nie było. Posłano po niego Tatara, człowieka chytrego, któremu zbytnio ufać nie było można, ale przytem nadzwyczaj przebiegłego, który jako taki mógł się wszystkim bardzo przydać.

Ostrożnie wszedł Tatar do koszar, wywołał starego aresztanta Bobrowa, który był w wielkiem poważaniu u to-

warzyszy swych i prosił go, ażeby im Burana jak najprędzej przesłał, bo bez niego jako przewodnika być im nie podobna. Bobrow przyrzekł to uczynić, zastał jednak Burana nieprzygotowanego.

— Dla czego się to ociągasz, Buranie? — zapytał starego włóczęgę.

— Dla czego się ociągam? Jestem przecież gotów zejść do kopalni do pracy, jak zwykle.

— Słuchaj Buranie! — towarzysze twoi czwarty już dzień siedzą w lesie i czekają na ciebie. Gdy powrócą, czeka ich knut a może coś gorszego jeszcze z powodu ciebie. Czyż to nie wiesz, co ciebie czeka, gdy ja towarzyszom powiem, jak to sobie postąpiłeś? (Groził mu uduszeniem w podobny sposób, jak się to stało z trzema innymi, o czem poprzednio pisaliśmy).

— Wiem o tem, — rzekł Buran smutnie kiwając głową, — i dla tego pójdę za nimi, bo taką śmiercią umrzeć nie chcę. chociaż wiem, że ta czeka na mnie pod zwykłą postacią, ale ażeby ucieczka była skuteczną, potrzeba mi najpierw dwunastu siermięg, dwunastu noży, dwóch siekier i trzy kociołki. Krajowcy bowiem nie przewiozą nas bez podarunków.

Bobrow postarał się o wszystko, bo aresztanci cierpiąc wspólnie, czują do siebie wzajemną sympatyą, jak to ludzie niedoli, dzieląc się z towarzyszem wszystkiem, co posiadają — i Buran w następnym dniu udał się do zbiegów.

* * *

— Odmłodnieliście na duchu o kilkadziesiąt lat, gdyście się uczuli swobodnymi? — zapytałem, ujrzawszy, jak rysy Wasylego przy dalszem opowiadaniu się ożywiały i jak głos jego się podnosił.

— Naturalnie, pierś z wzruszenia zdawała się nam rozsadzić, a serca bicie tak było gwałtowne i głośne, żeśmy takowe dokładnie słyszeli. Nikt tego nie rozumie, kto sam takich życia kolei nie przechodził. Już na początku ucieczki naszej zauważyliśmy jednak, że Buran nie we wszystkiem odpowiadał warunkom przewodnika. Dwukrotnie uciekał już z wyspy, co prawda, znał więc drogi, ale czuliśmy, że się na niego spuścić nie możemy.

— Uważaj, — mówił do mnie towarzysz ucieczki Wołodika — ażeby nie wydarzyło się nam jakie nieszczęście. Mnie się zdaje, że Buran ma już bardzo słabą głowę.

— Dla czego?

— Gdyż widzę go z wzrokiem, bezustannie ku ziemi spuszczonym, ciągle ze sobą rozmawiającego, potrząsającego głową. Przytem nie wydaje żadnych rozkazów. Do pierwszego kordonu mieliśmy mieć podobno dwadzieścia wiorst, osiemnaście już przebyliśmy, powinniśmy zatem teraz zachować środki ostrożności, ażeby wartom nie wpaść w ręce, a tu Buran nic nie gada.

Wszyscyśmy uznali słuszność uwag Wołodiki i postanowiliśmy sami o ile możności radzić o sobie. Obawy nasze co do poblizkiego kordonu nie były płonne. Ujrzeliśmy bowiem nagle łódkę na wodzie. Zatrwożeni okropnie natychmiast opuściliśmy otwartą drogę, prowadzącą wzdłuż wybrzeża i zakopaliśmy się w gąszczu leśnym. Na wiosnę pokrywa Sachalin gęsta mgła, nic zatem nawet w najbliższej oddali ujrzeć nie mogliśmy. W chwili jednak, gdyśmy weszli na roztaczający się przed nami pagórek mgła uleciała ku morzu i ku niemałemu naszemu przerażeniu ujrzeliśmy w niedalekiej odległości kordonu żołnierzy, biegających po podwórzu, warty śpiące i psy węszące. Teraz, gdyśmy niebezpieczeństwoominęli, odetchnęliśmy swobodniej. Ale postanowiliśmy teraz przemówić Buranowi do sumienia.

— Jakże Buran, toć to kordon?

— Tak jest, to są Warki.

— Nie gniewaj się Buranie kochany, jesteś co prawda pomiędzy nami najstarszy, ale my będziemy musieli się prawdopodobnie sami o siebie starać. Kto wie bowiem, jak daleko byśmy zaszli, gdybyśmy się na ciebie spuszczać mieli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-S. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Pomiędzy ludożercami.

Natura ludzka jest ułomną, pierwszy upadek oswaja ją ze złem; dziki, który raz w życiu zakosztował ludzkiego ciała, staje się zazwyczaj ludożercą z przyzwyczajenia, jeżeli nie powstrzymają go silniejsze wpływy niż obawa kary.

Z wyjątkiem płaskogłowej rasy, składającej się z licznych pokoleń karaibów, meksykanów i koluszów, czerwonoskórzy indyanie w Ameryce północnej nie są bynajmniej ludożercami w właściwem znaczeniu tego wyrazu.

Ludy te, zarówno jak my, poczytują za karygodną zbrodnię morderstwo człowieka oraz spożywanie jego ciała.

Indyanin jednak często wystawianym bywa na dokuczliwy głód; dla jednostek pozbawionych zasad religii i moralności pokusa bywa nieraz natarczywą i przechodzącą ich siły.

»Kanibale, których napotkałem w moich wędrówkach po Ameryce,« mówi pewien misyonarz »nie odznaczali się wcale wyjątkową dzikością usposobienia; przeciwnie, byli to ludzie łagodni, spokojni, życzliwi we wzajemnych z sobą stósunkach; kilku z nich stało się z czasem wzorowymi chrześcianami. Jeden z nich tylko, o ile zapamiętałem, napiętnowany był na twarzy wyrazem zwierzęcego okrucieństwa.«

Pewien angielski pisarz pogardą okrył garstkę francuzkich rozbitków, którzy wyrzuceni przez burzę na bezludną wyspę, doprowadzeni zostali przez głód do pożarcia się wzajemnego. Okropnemu faktowi przeciwstawia on anglików, którzy pozostawieni w równie strasznem położeniu, nie uciekli się jednakże do tej ostateczności. Tymczasem i jednostki innych narodów stały się wskutek nieszczęsnych okoliczności ludożercami.

Każdy człowiek należący do jakiejbądź narodowości lub wyznania, skutkiem strasznych okoliczności stać się może ludożercą. Postawiony między głodową śmiercią a zbrodnią ludożerstwa, człowiek obroni się lub ulegnie pokusie w miarę siły lub chwiejności zasad swoich moralnych, charakteru i uczuć religijnych. Niema narodu, któryby stanowił wyjątek w tym względzie.

A teraz po wstępnych uwagach niech mi wolno będzie przenieść czytelnika pod biegun północny, do warowni »Dobra nadzieja«, leżącej na prawem wybrzeżu rzeki Mackenzie.

Z wszystkich przemysłowych punktów należących do prowadzącej handel futrami kompanii w zatoce Hudson, miejscowość ta najwięcej ucierpiała od głodu w 1840 roku; ona to stała się widownią straszliwych scen ludożerstwa.

W owej epoce warownia, jakkolwiek ważna jako punkt wojenny i handlowy, otrzymywała rocznie zaledwie 150 kilogramów strzelniczego prochu, oraz 100 kilogramów kul i ołowiu. Był to bardzo niedostateczny zapas dla załogi złożonej z 700 dzikich krajowców; dziś, gdy osiadłe tam plemię, zwane zajęczemi skórami, liczy zaledwie 500 dusz, tenże sam obronny zamek zaopatrzonym bywa rocznie w 5,000 kilogramów prochu i 4,000 innej amunicyi.

Zanim jednakże pewien komisant naznaczonym został na dowódcę załogi, nigdy miejscowość ta nie cierpiała od głodu do tego stopnia, aby można było przytoczyć choć jeden fakt ludożerstwa. Smutny ten przywilej należy się p. komisantowi; jego niegodne postępowanie z żonami i córkami tuziemców stało się powodem strasznej katastrofy, która powaliła przeszło 80 ofiar ludzkich pod siekierą i strzelbą a następnie ciała ich na pastwę i żer oddała zabójcom.

Nowoprzybyli polowali dokoła warowni z małem bardzo powodzeniem, bo zwierzyna była rzadką w tych stronach; domagali się oni natarczywie, aby dozwolono im powrócić na miejsce, zkąd przyszli. Nieludzki człowiek głuchym był na ich prośby, zwlekając z pomocą z dnia na dzień. Zapasy dla twierdzy nie nadchodziły, komendant zmuszonym był ograniczyć własne swoje potrzeby, a dzicy obozujący dokoła warowni doprowadzeni byli do ostateczności głodowej, która zmusiła ich obuwie, rzemyki i namioty obracać na pożywienie.

Komendant z obawy pozostania na łasce ludzi, których cierpliwości nadużywał tak długo, odmówił im nawet amunicyi i przez to skazał ich na śmierć głodową lub na ostateczność pożerania się wspólnie.

Dlaczego dwustu tych indyan, obozujących w pobliżu warowni, nie napadło na kilku żołnierzy białych strzegących prochowni, nie wyłamało zamków do składu z pożywieniem, tego my europejczycy zrozumieć nie umiemy. Łagodni, zrezygnowani i tchórzliwi in-

dyanie mieli może tę myśl, ale zabrakło im odwagi. Warownia zresztą otoczona była palisadami, najeżona wieżycami i zaopatrzona w ciężką bramę wjazdową, zamkniętą na rygle i kłódki.

Doprowadzeni do ostatecznych granic wściekłości i rozpaczy, rzucili się na starców i niemowlęta; ratowali się od śmierci spożywając ciała własnych rodziców i dzieci, pieczone na wolnym ogniu.

Umysł ludzki wzdryga się przed opisem scen podobnych!

»Nie było dnia« mówiła mi jedna z nieszczęśliwych ofiar zbrodniczego komendanta, »abyśmy nie słyszały uderzenia siekiery spadającej na kark i jęków ludzi konających, którzy daremnie o litość błagali swoich krewnych.« Serca ludzkie zamknięte są dla litości.

(Dokończenie nastąpi.)

Jak powstaje śnieg?

Ilość śniegu spadającego corocznie zwiększa się w miarę zbliżania się ku biegunom; przy równiku nie widać go nigdy na poziomie morza. W krajach południowych ilość ta wynosi w przybliżeniu $1/_{20}$ wody dostarczonej przez deszcze, gdy tymczasem w Rosyi wynosi ona $1/_{8}$ tejże wody.

Ilekroć śnieg spadnie obficiej, pociąga za sobą złagodzenie powietrza; prócz tego ochrania grunt od promieniowania a rośliny od wymarznięcia. Termometr umieszczony pod śniegiem podlega zmianom nie większym od 0^0 do 2^0. Podczas ciężkiej zimy w 1789 zauważono, iż zamarznięcie gruntu pokrytego śniegiem dochodziło 60 centymetrów, w miejscach zaś obnażonych przez wiatry dosięgało prawie 100 centymetrów.

Wytłumaczmy teraz powstanie śniegu. Gdy powietrze przejęte jest zimnem, deszczowe chmury zgęszczają się w cząsteczki stałe, lodowe, przylegające do siebie, i spadają powoli wskutek małej swej wagi przy względnie znacznej objętości. Tak utworzony śnieg topnieje częstokroć przed spadnięciem swojem na ziemię. W krajach górzystych zdarza się, że z tej samej chmury spada deszcz na płaszczyzny a śnieg na górskie wyżyny.

W r. 1737 akademicy francuscy, zajęci powietrzem w Laponii, zauważyli, że ilekroć za otworzeniem drzwi do izby, w której mieszkali, prąd nadzwyczaj zimnego powietrza, napływającego od zewnątrz, łączył się z gorącem i wilgotnem powietrzem izby, ta napełniała się cała latającymi kłaczkami śniegu. Śnieg wytwarzał się w tym razie natychmiast. Cząsteczki wodne, zawieszone w powietrzu, marzły zupełnie tak samo jak rosa poranna, gdy w szron się obraca. Śnieg w takim samym znajduje się stósunku do deszczu, jak rosa do szronu.

Kłaczki śniegowe składają się z maleńkich kryształów, mających kształt gwiaździsty, przylegających do siebie; są one tem większe, im z większej wysokości śnieg spada. Gwiazdki te przedstawiają zadziwiającą prawidłowość i rozmaitość kształtów, można je badać najlepiej na czarnem suknie, gdy czas jest zimny i suchy. Uczeni naliczyli do 100 ugrupowań gwiaździstych. Można też badać formowanie się gwiazdek, wydymając bańkę mydlaną podczas mrozu; wówczas na powierzchni bańki tworzy się mnóstwo kryształów, grupujących się w kłaczki. Prawidłowość gwiazdek zależną jest od spokoju atmosfery. Podczas zawiei i wiatrów, łączące się cząsteczki grupują się bezładnie, i tworzą masę gąbczastą, nieprzezroczystą, znaną pod nazwą kaszy śniegowej (drobny grad.)

Ziarnka pokryte bywają niekiedy warstewką lodu przezroczystą, będącą znakiem topnienia, po którem nastąpiło nowe zmarznięcie. Niekiedy zaś przedstawiają się jak małe ostrosłupy, przecięte wewnątrz promieniami idącemi od wierzchołka.

Jeżeli śnieg, pokrywający ziemię w nieznacznej ilości, zaczyna topnieć, to tworzy na jej powierzchni powłokę stwardniałą, lodową, zwaną gołoledzią. Tak też nazywają warstwę lodową tworzącą się, ilekroć podczas odwilży spadnie deszcz na grunt nagi i pokryty jeszcze lodem. Niejednokrotnie zauważono śnieg koloru zupełnie czerwonego. Zdarza się to bardzo często na wyżynach gór alpejskich. Barwę tę nadaje śniegowi drobny pyłek, będąc grzybkiem mikroskopowym, rozmnażającym się właśnie na śnieżnych gruntach górskich. Zabarwienie atoli pochodzić może i z innych przyczyn: częstokroć pyłki mineralne czerwonego koloru, uniesione wiatrami, spadają wraz z wodą zmarzniętą. Tak samo czasami deszcz ma barwę materyi zawieszonych podczas badania w powietrzu.

Śnieg w każdej porze mamy nad naszemi głowami. Zlodowaciałe czą-

steczki unoszą się w atmosferze nawet podczas upałów w samym środku lata. Każdy zauważył te piękne jasno-białe obłoczki, płynące wysoko na lazurze nieba letniego. Są to chmurki śniegowe, albo skupione masy cząsteczek lodowych. W ogóle zapowiadają one zmianę pogody, wywołaną obecnością wiatrów deszczowych. Cząsteczki wody skrzepłe wskutek zimna, panującego w tych górnych okolicach, zmieniają się w śnieg nigdy nietopniejący.

Praktyczne rady.

— **Maść cudowna.** 3/4 litra czystej, bezwonnej oliwy, 1/2 funta czystego, żółtego wosku, 1/2 fnuta miałko tłuczonego minium (mennige), 8 łutów czystej terpentyny; 1 1/2 łuta kamfory i 4 łyżki suchej mąki rzannej.

Do gotowania maści trzeba tygielka z glazurą wewnątrz. Tygielek musi być tak wielki, że kiedy się wszystko wleje i wsypie, pozostanie do brzegu jeszcze na szerokość ręki miejsca. Gotować trzeba nad małym ogniem n. p. nad kawałkiem torfu, aby się masa raz silniej, drugi raz wolniej gotowała.

Najpierw wlewa się w tygielek oliwę, skoro się nieco rozgrzeje wsypuje się minium. Potem trzeba masę nową drewnianą łyżką ciągle mieszać powoli, aby minium nie przypiekło się do dna, aż masa nie przybierze koloru kawowego. Przytem nie trzeba tygielka trzymać do końca nad ogniem, lecz kiedy minium wydaje jeszcze czerwone bąble, zdejmuje się tygielek i miesza dalej, póki się nie widzi koloru kawowego. Teraz dodaje się wosku naprzód pokrajanego w drobne kawałki. Skoro się wosk stopi, wlewa się terpentyny. Nie należy przestawać mięszać ani na chwilę. Teraz tygielek stawia się znowu na ogniu, a kiedy się wszystko dobrze zagotuje, sypie się mąkę, lecz nie odrazu, ale tylko, aby powierzchnia masy była zasypana. Dopiero kiedy się pierwszą porcyą mąki zamięsza dobrze, sypie się drugą porcyą, i tak do końca. Chodzi o to, aby się nie tworzyły grupki z mąki. Dodając wosku i mąki należy być ostróżnym, aby nie pryskało i nie szumiało. Kiedy masa od dołu do góry się gotuje, odstawia się tygielek, a kiedy się uspokoi, dodaje się proszkowanej kamfory. Przy tem wszystkiem ciągle trzeba mięszać, czy tygielek stoi nad ogniem czy nie. W końcu wylewa się powoli masę w blaszaną płaską formę, wyłożoną papierem oliwą napuszczonym. Póki masa nie ostygnie całkiem, to trzeba ją powoli przerabiać za pomocą małej drewnianej łopatki, u dołu prostej, aby ciężkie minium nie osadziło się u spodu, lecz wszędzie równo się zmięszało.

Skoro masa zupełnie ostygnie, wyjmuje się z formy i kraje nożem posmarowanym oliwą w kawałki, które się obwija w papier woskowany (pergaminowy), aby kamfora nie wywietrzała. Im staranniej maść obwinięta, tem dłużej jest skuteczna. Schować trzeba ją w miejscu suchem. Maść smaruje się cienko na płótno i przykłada na rany, na zapalenia, (nawet na oczy), na romatyzm, oparzeliznę i. t. d. Jeżeli rana się ropi, trzeba płótno u góry poprzecinać, aby materya mogła odpływać, i co dzień trzeba nowe płótno z maścią przykładać.

— **Oczyścić zamarznięte szyby.** Zrobić gęsty roztwór soli kuchennej i wycierać nim zamarzniętą szybę.



Rozmaitości.

* **Sposób powitania u narodów** był i jest rozmaity. W odległej starożytności niższy przed wyższym padał na ziemię, gdy się z nim spotkał. U nas jest zwyczaj odkrywania głowy i podawania ręki. Krewni i przyjaciele całują się także. Odkrywanie głowy weszło w zwyczaj dopiero w 16-tym wieku. Uścisk ręki jest jeszcze późniejszy. W Czechach noszono do ust kraj sukni osoby wyższej.

Starzy Grecy witali i żegnali się słowami: ciesz się, Rzymianie witali się słowem: witaj, żegnali się zaś słowem: bądź zdrów. Izraelici całowali się w ręce, głowę i ramiona, mówiąc: scholem aleichem, (pokój niech będzie z tobą). Powitanie chrześciańskie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus zaprowadził dopiero papież Benedykt XIII. Niemiec życzy dobrego dnia a żegna się słowami: polecam się. Turek zakłada ręce na piersiach i schyla głowę na znak powitania. W Chinach niższy stanowiskiem jeździec zsiada z konia lub powozu i czeka, aż towarzysz jego, wyższy stanowiskiem przejedzie. W Japonii podwładny zdejmuje przed zwierzchnikiem sandały, opuszcza ramiona i woła: nie czyń mi nic złego. Mieszkańcy Tybetu w Azyi pokazują język, wyszczerzają zęby i drapią się w ucho na powitanie. Abisyńczycy padają na kolana i całują ziemię, Kałmucy, Anamici pocierają sobie przy powitaniu nosy, Indusi ręką dotykają czoła i pochylają głowę, zowiąc się najniższymi niewolnikami, na wyspie Ceylon podwładny pada na ziemię, wymieniając imię i tytuły zwierzchnika.

* **Żydów żyje**: w Austryi 1 1/2 miliona, na Węgrzech 800 tysięcy, w Niemczech 600000, w Anglii 50000, we Francyi 50000, w Ameryce całej 230000 tysięcy. Nie dziwić się zatem, że w Austryi, Węgrzech i Niemczech, gdzie żydów najwięcej, kwitnie antysemityzm. Że ich zaś tak stósunkowo podpadająco mało w innych krajach, pochodzi najprawdopodobniej ztąd, że tam naród sam jest nadzwyczaj handlowy i przemysłowy, więc żydzi nie mają tam pola do bogacenia się.

* **Najszybszym** pociągiem w Europie jest obecnie północny pociąg pospieszny w Niemczech.

Obliczono, że przebiega w godzinie w przecięciu 80 kilometrów, czyli $10^2/_3$ mili. Gdy jedzie na równej przestrzeni, przebiega w godzinie nawet 12 i więcej mil.

* **Na kilku** amerykańskich uniwersytetach występują władze ostro przeciw paleniu tytoniu. Profesorzy twierdzą, że tytoń szkodzi nietylko zdrowiu, lecz przytępia umysł. Dowiedli tego liczbami. Uczniów niepalących, uczących się dobrze, jest 10,4 procent więcej od palących. Być może, że profesorzy mają słuszność. Mniej jednak tytoń, ile picie szkodzi rozwojowi umysłu, bo kto pali, ten i pije zazwyczaj.

* **Węże** są największymi głodomórcami. Szczególnie żmije celują pod tym względem. Żmija, gdy jest w niewoli, wcale żywności do siebie nie przyjmuje i zdycha w końcu z głodu. Pewien uczony stwierdził na doświadczeniach, że żmija przeszło rok bez żywności może żyć. Jedna żmija żyła 370, druga 464 dni. Dziwne przytem, jak mało te płazy na wadze tracą. Ostatnia ważyła przed rozpoczęciem głodomoru 26 gramów, na końcu 23,5 gramów. Żmija ubrała zatem tylko o $2^1/_2$ grama w tym czasie. Przytem zrzuciła z siebie w tym czasie skórę, która także $1^1/_5$ grama ważyła.

* **Ostatnie liczenie** ludności wykazało, że w Niemczech liczą 23 miliony ludności pracującej w przemyśle, $27^1/_2$ miliona osób bez wybitnego zawodu i $1^3/_{10}$ miliona sług. W rólnictwie, ogrodnictwie, hodowli bydła, leśnictwie i rybołóstwie pracuje $18^1/_2$ miliona, w górnictwie, hutnictwie, przemyśle i budownictwie $20^1/_5$ miliona, w handlu i ruchu komunikacyjnym 6 milionów.

* **Przekonano się**, że tak u żółwia, serce wyjęte z ciała i zawieszone w wilgotnym pokoju, będzie jeszcze biło przez jeden dzień, a nawet przez dwa i trzy. Żaba po takiej operacyi, bynajmniej nie zdechnie, lecz będzie żyła i skakała. Żółw, któremu ucięto głowę, miał jeszcze siłę w przeciągu 24 godzin przebyć przeszło dwieście łokci; nie spostrzeżono przytem żadnej zmiany w jego ruchach.

ŻARTY.

— Icek Geldlieb, powiedz mi, co to znaczy wyraz „hańba".
— Hańba... to jest... naprzykład... wżąszcz kasse swojego pryncypała i ...
— No, i cóż więcej?
— I co bi w drodze do Ameryki złapali.

— Ja znam starca, — odezwał się pierwszy, — który ma już sto jeden lat życia, a jednak czerstwy jest i zdrów jak ryba.
— Cóż to dziwnego! — zawołał X, wielki roztrzepaniec, — mój dziadek miałby dziś 150, gdyby nie był umarł.

Bije jak zegar.

— Czego sobie życzycie kobieto?
— A to proszę pana sędziego przyszłam ze skargą.
— Na kogo?
— Na mojego męża, bo jest całkiem, jak ten zegar.
— Cóż on robi?
— A no, co godzinę bije.

☞ Do dzisiajszego numeru „Światła" dołączamy prospekt, dotyczący wychodzącego w Wydawnictwie „Katolika" dzieła „Dzieje Ślązka": Zwracamy na niego szczególną uwagę Szanownych naszych Czytelników, prosząc o łaskawe zamówienia.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu.